

PULS

GAZETA STUDENTÓW

NR 253 • 06-2025

ISSN 2956-784X





TEATR WIELKI

IM. STANISŁAWA MONIUSZKI
W POZNANIU

PULS

GAZETA STUDENTÓW

NR 253 • 06-2025

JAN MROCZKOWSKI
REDAKTOR NACZELNY



Czerwiec to miesiąc, w którym dochodzi do przesilenia letniego i rozpoczyna się astronomiczne lato. To właśnie teraz słońce wschodzi najwcześniej i zachodzi najpóźniej, a dni stają się długie i pełne światła. Coraz bardziej czujemy powiew lata – myślami przenosimy się nad jezioro, morze czy w góry. Dla wielu z nas to również intensywny czas pracy – egzaminów, zaliczeń i praktyk zawodowych. Dla niektórych to ostatnie zajęcia przed wakacjami, a może nawet ostatnie spotkanie z uczelnią w tym etapie życia. W redakcji Pulsu czerwiec to także moment zamknięcia kolejnego “sezonu” – to nasz ostatni numer przed wakacyjną przerwą. Wrócimy do Was znów w październiku, z nową energią i świeżymi pomysłami.

Z całego serca dziękuję Wam, Drodzy Czytelnicy, za obecność i zaangażowanie – za każdy przeczytany artykuł, rozwiązane krzyżówki, odsłuchane podcasty i reakcje na nasze materiały w mediach społecznościowych. Wasze zainteresowanie jest dla nas ogromną motywacją i potwierdzeniem, że to, co robimy, ma sens.

Redaktor Naczelny: Jan Mroczkowski

Skład: Maria Tomaszewska

Okładka: Weronika U. Musiał

Strona internetowa: Weronika Pierz

Korekta: Wojciech Pękosz, Iga Bernacka

Ilustracje: Maja Gołębiowska, Maria Tomaszewska, Julia Musiał, Weronika U. Musiał

Kolegium: Róża Krysztofiak, Kamila Garus, Patryk Moczyński, Marcin Żółtowski, Mateusz Szot, Piotr Bojarski, Aniela Żak, Filip Jaszcza, Alicja Urbańczyk, Konrad Strzelecki, Adrian Kostrzewa, Maja Łowczyk,

W imieniu swoim oraz całej redakcji życzę Wam pięknych, udanych i bezpiecznych wakacji, pełnych odpoczynku, przygód i spotkań. Niech ten letni czas pozwoli Wam złapać oddech, zregenerować siły i naładować baterie przed kolejnymi wyzwaniami.

Do zobaczenia jesienią – wracamy do Was w październiku!

SPIS TREŚCI

3 Słowo wstępu *Jan Mroczkowski*

4 Wariograf

NAUKA

5 Nie ufaj intuicji *Patrycja Bartczak*

7 Siła w jedności, *Weronika U. Musiał*

rozmowa z Fundacją SMA *Katarzyna Pedrycz*

10 Beztroskie oblicze trzmieli *Patryk Moczyński*

ROZMAITOŚCI

12 Południowy wymiar szarości *Zuzanna Nogaj*

16 Granice wolności wyboru *Michał Chodacki*

19 Tam, gdzie Korrigany tańczą nocą *Emilia Dańczak*

21 Wycieczka #5 *Maria Tomaszewska*

KULTURA

25 Między młotem a łóżem *Jakub Trojanowski*

27 Kryzys liberalizmu *Wojciech Pękosz*

i Rafał Trzaskowski

29 Cykl Artefakty: *Weronika U. Musiał*

ROZRYWKA

33 Krzyżówka

34 Sudoku

38 Suchary

Zastępca Redaktora Naczelnego: Maria Tomaszewska

Koordynatorka Działu Pisarskiego: Weronika U. Musiał

Koordynatorka Działu Graficznego: Maja Gołębiowska

Koordynator Działu Korekty Językowej: Wojciech Pękosz

Koordynatorka Działu PR: Róża Krysztofiak

Koordynator Działu HR: Piotr Bojarski

Koordynatorka Działu Nagrań Audiowizualnych: Zuzanna Nogaj

Numer zamknięto: 10.05.2025 r.

Nakład: 1000 sztuk i wydanie internetowe

Adres redakcji: DS Karolek, ul. Rokietnicka 5E, 60–806 Poznań

pulsum.ump.edu.pl • fb.com/PulsUMP • redakcja@pulsum.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i adiacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Zgłoszenie tekstu do druku jest jednoznaczne z przekazaniem Redakcji prawa do jego własności.

WARIOGRAF

IMIĘ I NAZWISKO: Artur Chmielewski
STOPIEŃ NAUKOWY: Magister
STANOWISKO: Wykładowca
STAŻ NA UCZELNI: 5 lat

TRZY SŁOWA, KTÓRE NAJTRAFNIEJ MNIE OPISUJĄ: Głośny, Pozytywny, Marzyciel
JESTEM MISTRZEM W: Tak żeby nazwać się mistrzem, to chyba w niczym.
MAM SŁABOŚĆ DO: Dobrych ludzi. Bo są nie widoczni dla oczu.
NIE POTRAFIĘ: Wielu rzeczy, ale ciągle się czegoś uczę. Bo dalsza ciekawość świata daje mi spokój ducha.
ZAWSZE CHCIAŁEM SIĘ NAUCZYĆ: Grać na jakimś instrumencie.
CHCIAŁBYM JESZCZE: Pojechać kiedyś w podróż dookoła świata, ale nie sam, cieszyć się tym światem z kimś.
AUTORYTETEM SĄ DLA MNIE: Każdy człowiek, który potrafi osiągać swoje cele, ale bez krzywdzenia innych.
KIEDY KŁAMIĘ: Staram się nie, ale jak już to się dzieje, to tylko w samoobronie.
SŁOWA, KTÓRYCH NADUŻYWAM: Wszystkich, bo jestem straszną gadułą
IRYTUJE MNIE: Ludzie, którzy świadomie robią przykrość innym.
KIM LUB CZYM CHCIAŁBYM BYĆ, GDYBYM NIE BYŁ TYM, KIM JESTEM: Pewnie ptakiem, zazdroszczę im, że mogą latać. Bo mogą być tam gdzie chcą, ogranicza ich tylko wyobraźnia.
STUDENTOM ZAZDROSZCZĘ: Tego, że są studentami. Niech korzystają z tego czasu: podróżują, imprezują i poznają ludzi. Bo potem jak się pracuje, już tak łatwo nie jest.
KIEDY STOJĘ W KORKU: Słucham muzyki, gram na telefonie i uciekam w marzenia.
MOJE HOBBY TO: Rośliny, nie mam na nie czasu tyle ile bym chciał, ale lubię jak jest ich dużo.
ZAWSZE MAM PRZY SOBIE: Słuchawki, bez muzyki nie wyobrażam sobie wyjścia z domu.
NIEZWYKŁA UMIEJĘTNOŚĆ, KTÓRĄ POSIADAM: Nie wiem czy to umiejętność, ale rozmowa z ludźmi.
MOJE ULUBIONE MIEJSCE NA ZIEMI: To nie miejsce czyni dla mnie tym ulubionym, ale ludzie. Czyli wszędzie tam gdzie są świetni ludzie i mogę coś ciekawego przeżywać.
MUZYKA, PRZY KTÓREJ SIĘ BAWIĘ: Ta która daje mi energię.
MUZYKA, PRZY KTÓREJ ODPOCZYWAM: Każda, która mnie rusza. Nie mam jednego gatunku.
ENERGII DODAJE MI: Studenci, ich ciekawość i energia napędza mnie siła do działania.
MOJA RADA DLA STUDENTÓW: Cieszcie się tym czasem, rozmawiajcie ze sobą i pomagajcie sobie. Bo to jest wasz czas rozwoju.
NETFLIX, HBO CZY TELEWIZJA: Każda platforma na której znajdę bajki, bo ich prosta treść trafia do mnie najbardziej.
JEŚLI TELEFON TO ANDROID CZY IPHONE: Wieloletni użytkownik iphona.
ULUBIONE HASŁO, KTÓRE CZĘSTO WYPOWIADAM: Nie mam jednego hasła, ale cała historia lisa z książki „Mały książę”
„(...)Teraz jesteś dla mnie tylko małym chłopcem, podobnym do stu tysięcy małych chłopców. Nie potrzebuję ciebie. I ty mnie nie potrzebujesz. Jestem dla ciebie tylko lisem, podobnym do stu tysięcy innych lisów. Lecz jeżeli mnie oswoisz, będziemy się nawzajem potrzebować. Będziesz dla mnie jedyny na świecie. I ja będę dla ciebie jedyny na świecie.(...)”



Nie ufaj intuicji

O heurystykach i błędach poznawczych

Codziennie podejmujemy wiele decyzji oraz wydajemy liczne osądy. Tak właśnie wygląda nasze życie. Być może w tej chwili nie uświadamiasz sobie, jakie decyzje podejmujesz podczas zwykłego dnia, ale zapewniam Cię – robisz to nieustannie. Idąc do sklepu, decydujesz co kupić, co zjeść, jaką drogą pójść i wiele innych. Nie odczuwasz, by były to szczególnie trudne procesy, ponieważ Twój mózg korzysta ze skrótów myślowych, czyli heurystyk. Od pojawienia się pytania w Twojej głowie do podjęcia decyzji dochodzi szybko i bez głębokiej analizy. Twój umysł opiera się na wcześniejszych doświadczeniach, które zazwyczaj okazują się trafne. Ten mechanizm jest adaptacyjny – dzięki niemu możemy sprawnie funkcjonować, nie analizując każdej najmniejszej decyzji. Wykorzystujemy intuicję, która pozwala nam wnioskować na podstawie... no właśnie, czego? Głównie pierwszego wrażenia oraz porównania aktualnej sytuacji do wzorców znanych z przeszłości.

Skoro już pochwaliłam ten mechanizm za jego skuteczność w oszczędzaniu czasu i energii, pora na refleksję. Niestety, skróty myślowe mogą nas zwodzić. Często korzystamy z nich automatycznie i nieświadomie, co prowadzi do tzw. błędów poznawczych. W literaturze psychologicznej opisano ich wiele. W tym artykule zwrócę uwagę na kilka najczęściej spotykanych – sprawdź, czy sam ich nie popełniasz.

Heurystyka dostępności polega na przecenianiu informacji, które są nam dobrze znane lub łatwo dostępne w pamięci. Przykładem jest lęk przed lataniem samolotem. Choć statystycznie samoloty są bezpieczniejsze niż samochody, to wypadki lotnicze są bardziej dramatyczne

i lepiej zapadają w pamięć. Dlatego wydają się nam częstsze i bardziej niebezpieczne, niż są w rzeczywistości.

Heurystyka zakotwiczenia to tendencja do opierania się na pierwszej informacji, jaką otrzymamy, niezależnie od jej trafności. Przykładem może być sytuacja w sklepie: widzimy produkt przeceniony z 200 zł na 120 zł i oceniamy nową cenę jako korzystną, nie zastanawiając się, czy rzeczywiście wartość produktu odpowiada nawet tej niższej kwocie. Pierwotna cena działa tu jak „kotwica”, wpływająca na nasze postrzeganie wartości.

Heurystyka reprezentatywności polega na ocenianiu prawdopodobieństwa zdarzenia na podstawie tego, jak bardzo przypomina ono nasz mentalny model typowego przypadku. Dobrym przykładem jest losowanie liczb w lotto. Większość ludzi uzna zestaw 1,2,3,4,5,6 za mniej prawdopodobny niż 3,17,22,35,41,45 – mimo że matematycznie oba zestawy mają dokładnie takie samo prawdopodobieństwo. Pierwszy wydaje się zbyt „uporządkowany”, przez co wydaje się nielosowy.

Skutkiem działania



heurystyk są widoczne w społeczeństwie i zaobserwowane w różnych badaniach błędy poznawcze. Często jest błąd potwierdzenia - skłonność do poszukiwania i zapamiętywania informacji, które potwierdzają nasze wcześniejsze przekonania, przy jednoczesnym ignorowaniu faktów im przeczących. Działa to jak filtr – akceptujemy tylko to, co zgadza się z naszymi poglądami. Efekt ten jest dodatkowo

wzmacniany przez algorytmy mediów społecznościowych, które tworzą tzw. bańki informacyjne.

Automatyzmy odgrywają istotną rolę w naszym codziennym funkcjonowaniu. Warto jednak pamiętać, że są one powszechne, jak i nauczyć się je rozpoznawać. Refleksja nad własnym myśleniem oraz nawyk ponownej analizy swoich decyzji mogą pomóc w ich unikaniu. W szczególności personel ochrony zdrowia powinien być świadomy zagrożeń wynikających ze skrótów myślowych – ich konsekwencje mogą bezpośrednio wpływać na zdrowie i życie pacjentów. Aby ograniczyć błędy poznawcze, warto wdrażać przemyślane procedury, korzystać z check-list oraz praktykować współpracę zespołową. Spojrzenie drugiej osoby i wspólna analiza sytuacji to skuteczne sposoby na zmniejszenie wpływu błędów poznawczych na nasze decyzje.

Ilustracja: Weronika U. Musiał



WERONIKA U. MUSIAŁ

KATARZYNA PEDRYCZ

Siła w jedności

rozmowa z Fundacją SMA

Rdzeniowy zanik mięśni (SMA) to rzadka, lecz niezwykle wymagająca choroba genetyczna, która dotyka zarówno chorych, jak i ich bliskich. Fundacja SMA od lat wspiera rodziny w codziennych zmaganiach, promując dostęp do nowoczesnego leczenia oraz edukując społeczeństwo. W rozmowie z wiceprezeską Fundacji SMA Katarzyną Pedrycz rozmawiamy o najważniejszych celach organizacji, a także o tym, jak wygląda codzienna walka o godne życie osób z SMA w Polsce.

Jak wyglądał proces zabiegania o refundację leków dla pacjentów z SMA z perspektywy Fundacji? Jak długo trwał?

Zależy jak szeroko na to patrzeć. Z perspektywy Fundacji w procesie byliśmy od samego początku działania Fundacji. Zintegrowaliśmy środowisko chorych, nawiązaliśmy relacje ze specjalistami i lekarzami, prowadziliśmy dialog z decydentami, żeby w momencie gdy będzie trzeba zdecydować, czy lek ma być refundowany, nasz głos był słyszalny i był głosem całego środowiska - chorych i specjalistów. Bardzo dbamy o to, by być na bieżąco i aby szerzyć rzetelną wiedzę. Współpracujemy też z Fundacjami Europejskimi w parasolowej Fundacji, a to z niewielkiego środowiska chorych na chorobę rzadką tworzy już sporą grupę.

Zabieraliśmy głos podczas posiedzeń AOTMiT, pisaliśmy jako społeczność listy do Premiera z prośbą o refundację i utworzyliśmy petycję, doprowadziliśmy do powstania rzetelnych analiz, z których Ministerstwo Zdrowia w jasny sposób mogło zobaczyć jak efektywne jest leczenie.

Jak obecnie wygląda dostępność refundowanych terapii dla osób z SMA w Polsce? Czy są jakieś bariery w ich uzyskaniu?

W Polsce mamy refundację wszystkich trzech leków jakie są dostępne na rynku. Każde nowonarodzone dziecko wyłonione w badaniach przesiewowych

może otrzymać wybraną w drodze porozumienia lekarzy i rodziców terapię. Najczęściej jest to terapia genowa (TG). W trudniejszych przypadkach gdy dziecko nie może od razu otrzymać TG podawany jest pomostowo lek doustny lub dokanałowy.

Osoby z SMA zdiagnozowane w późniejszym czasie mają do wyboru lek dokanałowy lub doustny.

Dzieci, u których w badaniach przesiewowych wykryto 4 kopie genu SMN2, otrzymują lek doustny lub dokanałowy, dzieci z 5 kopiami bezobjawowe - obserwujemy - co jest polem do dyskusji.

Również pewne ograniczenia w dostępie mogą odczuwać chorzy z bardziej zaawansowaną chorobą, gdy podanie leku dokanałowego jest niemożliwe i do wyboru pozostaje im lek doustny. Wiemy również o osobach, które czekają w kolejce do szpitala na rozpoczęcie terapii.

Jaka jest skuteczność badań przesiewowych noworodków pod kątem SMA w Polsce? Czy są jeszcze obszary wymagające poprawy w tej kwestii?

Badania przesiewowe w Polsce to obszar naszej chwały. Wypadamy świetnie w Europie. Czas od pobrania materiału z piąty noworodka do podania leku, to średnio 14 dni, co jest w porównaniu np z Francją o 4 dni krócej. Czas to motoneuron - ta maksyma ukuta przez neurologów - określa jak bardzo ważne jest tempo podania leku, aby uchronić pacjenta przed objawami choroby.

W przesiewie możemy wykryć 95% przypadków. Niestety, u około 2–5% chorych standardowe badania genetyczne mogą nie wykryć SMA. Dzieje się tak, gdy mutacja w genie SMN1 jest nietypowa. W takich przypadkach konieczne jest sekwencjonowanie genu SMN1 oraz konsultacja z genetykiem klinicznym. Wtedy najczęściej diagnoza jest robiona po zauważeniu pierwszych objawów.

Czy w Polsce istnieje wystarczająca liczba specjalistów zajmujących się leczeniem i rehabilitacją osób z SMA? Jakie są największe trudności w tym zakresie?

W Polsce mamy 37 ośrodków prowadzących program leczenia, gdzie osobami z SMA opiekują się zespoły specjalistów. Niestety odczuwamy brak wystarczającej ilości ośrodków dla dorosłych. Te, które funkcjonują obecnie, są przepełnione. Pacjenci w ośrodkach dziecięcych zaczynają osiągać pełnoletniość i przechodzą do ośrodka leczenia dorosłych pacjentów. Taka tranzycja, z ośrodka dziecięcego do dorosłego, jest dużym wyzwaniem, gdyż nie jest to jeszcze ujęte proceduralnie, co w efekcie zmusza rodziców do samodzielnego koordynowania tego zadania.

Na polu fizjoterapii cieszymy się, że rośnie świadomość i doświadczenie, przybywa nam wykwalifikowanych specjalistów, ale niestety najczęściej pracują oni w dużych miastach i udzielają świadczenia w placówkach prywatnych - czyli pacjenta musi być stać na takie usługi oraz musi mieć pomysł i możliwość się na taką terapię dostać.

Jakie są aktualne trendy związane z nowymi terapiami i badaniami nad SMA? Czy Fundacja współpracuje z ośrodkami badawczymi w zakresie nowych metod leczenia?

Obecnie prowadzone są badania nad preparatami, które mają wspomóc siłę mięśni. Jako że przyczyna choroby jest już leczona, a dzięki temu zanik mięśni nie postępuje, takie leki, które wspierają wzrost masy mięśniowej, są nową nadzieją dla pacjentów. W na-

szym kraju również prowadzone są badania kliniczne 3 takich preparatów.

Dodatkowo producenci istniejących już na rynku leków prowadzą kolejne badania nad unowocześnionymi cząsteczkami lub nowymi dawkami tego samego leku. Jako Fundacja jesteśmy w stałym kontakcie z ośrodkami leczenia (w nich również odbywają się próby kliniczne), dzielimy się swoją ekspertyzą dotyczącą potrzeb naszego środowiska, przekazujemy wiedzę od specjalistów i wspieramy procesy rekrutacyjne poprzez informowanie na naszych kanałach. Zgłaszamy też uwagi do tego, jak są projektowane badania.

W ramach współpracy międzynarodowej w SMA Europe współfinansujemy badania w wyłonionych szeroką ankietą potrzebach deklarowanych jako najpilniejsze przez osoby żyjące z SMA i ich rodziny.

Czy w Polsce system finansowania terapii i opieki nad osobami z SMA jest wystarczający? Jakie są największe trudności w zdobywaniu środków na leczenie i rehabilitację?

O ile dostęp do leczenia mamy szeroki i cieszymy się refundacją obejmującą każdego chorego, to obserwujemy braki w finansowaniu świadczeń w programie lekowym - co skutkuje zbyt małą ilością ośrodków, które decydują się program leczenia prowadzić. Krótko mówiąc podawanie leku na SMA może obciążać szpital niewspółmiernie do wyceny NFZ na taką usługę przeznaczoną, dlatego ciężko jest przekonać kolejne szpitale, aby leczyły SMA.

Jeśli chodzi o kwoty, jakie chory wydaje na opiekę na siebie, są to w większości kwoty wyjęte z własnej kieszeni lub środków zgromadzonych na subkontach.

Dopłaty do sprzętu ortopedycznego czy wózków ostatnio zostały zwiększone, to nas cieszy, ale niestety zdarza się, że chory musi jednak pewną część kwoty dopłacić z własnych środków czy zbiorów.

Czy społeczeństwo i instytucje publiczne są wystarczająco świadome wyzwań, z jakimi mierzą się

osoby z SMA i ich rodziny? Co można zrobić, aby zwiększyć tę świadomość?

W przypadku choroby SMA mamy poczucie, że świadomość jej istnienia jest bardzo wysoka, gorzej oceniamy wiedzę i tu widzimy pole do naszego działania. Sam fakt, że dostępne leczenie mamy stosunkowo od niedawna, warunkuje to że jeszcze wiele rzeczy może nas zaskoczyć. Uwrażliwiamy rodziców na fakt, że mimo praktycznie bezobjawowego przebiegu choroby trzeba zachować czujność i monitorować stan zdrowia; prostujemy fałszywe stwierdzenia, staramy się dostarczać rzetelnej wiedzy. W kontekście dostępu do leczenia i opieki ważne jest, aby osoby decydujące o naszym losie były otwarte na dialog i słuchały głosu osób, o których mają decydować. W kontekście społeczeństwa, to dla nas ważne jest, aby traktowali osoby z SMA jak innych ludzi, którzy mają takie same potrzeby i pragnienia, jak wszyscy ludzie, a to co nas różni, to możliwości w ich realizacji.

Jak sytuacja osób z SMA w Polsce wygląda na tle innych krajów? Czy są rozwiązania, które warto by wprowadzić na rodzimym gruncie?

Jeśli chodzi o dostęp do leczenia i opiekę w ośrodkach leczenia to oceniam to bardzo wysoko. Dość szybko dostaliśmy pełną refundację, cieszymy się przesiewem. Jesteśmy na dobrej drodze do tego, by każda osoba z SMA, która chce się leczyć, mogła to zrealizować. To jest baza.

Z trudniejszych spraw, to są problemy związane z codziennością i wsparciem na jakie ze strony państwa może liczyć chory. Sam dojazd na leczenie stanowi ogromne wyzwanie dla wielu rodzin, brak dostosowanych lokali mieszkalnych i pozostałe bariery środowiska wybudowanego. Oczekujemy także nieustająco rozwiązań systemowych, które będą wyrównywać różnice poprzez dostęp do asystentury czy opieki wytchnieniowej.

Fałszywe przekonania o niepełnosprawności prowadzą do tworzenia barier. Integracja społeczna jest dla nas odpowiedzią na wiele z tych problemów.

Jakie nowoczesne technologie (np. robotyka, sztuczna inteligencja, egzozskielety) mogą w przyszłości wspierać osoby z SMA w codziennym funkcjonowaniu?

Bardzo duże nadzieje pokładamy w egzozskieletach, które wspierałyby lub zastępowały pracę mięśni, niestety są to jeszcze nowinki technologiczne, które póki co stanowią tylko ciekawostkę. Inteligentne rozwiązania sterowane głosem lub za pośrednictwem dostosowanych aplikacji dają nadzieję na krok ku samodzielności i uniezależnianiu, i część ze środowiska już z powodzeniem z nich korzysta.

Cieszą też rozwiązania takie jak wózki, które są w stanie pokonać bariery architektoniczne: wyższe progi czy schody, a nawet jechać po piasku. W końcu chcemy pełnego życia, w którym możemy wyjść poza obszar wskazany miejscem dla osób z niepełnosprawnością.

Nasze potrzeby nie są szczególne, szczególny może być sposób ich realizacji.

Jakie są najważniejsze cele i plany Fundacji SMA na najbliższe lata?

Strategia działania na najbliższe lata jest podzielona na obszary, w których widzimy, że jesteśmy najbardziej potrzebni i skuteczni.

Kontynuujemy dzieło reprezentacji i wzmacniania głosu środowiska. Dbamy o integrację rodzin, bo zwarta społeczność łatwiej może osiągać cele, ale także jest ogromnym wzajemnym wsparciem dla siebie, a to buduje lepszy standard życia. Proponujemy poszczególnym grupom takim jak młodzież, dorośli czy opiekunowie specjalnie dedykowane programy. Organizujemy warsztaty, szkolenia, konferencje, obozy i wydarzenia specjalne. Dążymy aktywnie do tego, aby przy dostępie do leczenia i diagnostyki były dostępne i przestrzegane Standardy opieki. Czyli dalej dbamy o pogłębianie wiedzy i jej szerzenie.

Wierzmy nieustająco że: "Razem pokonamy rdzeniowy zanik mięśni".

Beztroskie oblicze trzmieli

Trzmiele potrafią się bawić przedmiotami i najwyraźniej czerpią z tego przyjemność - wskazuje badanie przeprowadzone na Queen Mary University w Londynie w 2022 roku. Naukowcy zaobserwowali, że zwierzęta nie potrzebowały zachęty do toczenia drewnianych kulek, a czasami nawet rezygnowały z posiłku na rzecz zabawy. Wyniki stanowią pewną wskazówkę co do inteligencji trzmieli, ale także innych owadów.

Przez długi czas uznawaliśmy owady za niezbyt wyrafinowane zwierzęta. Jednak coraz więcej dowodów wskazuje na to, że nie tylko odczuwają ból w podobny sposób, jak my, o czym wiemy od pewnego czasu, ale też potrafią się bawić. Zabawa wydawała się zarezerwowana dla organizmów o wysokim stopniu złożoności i rozwiniętym układzie nerwowym. Umiejętność zabawy pełni ważną rolę w rozwoju wielu gatunków zwierząt. Polowania "na niby" pozwalają młodym drapieżnikom nauczyć się technik, które pomogą im przetrwać w dorosłym życiu, zaś gatunki stadne opanowują w ten sposób podstawy życia w społeczności. Okazuje się jednak, że nie tylko kręgowce posiadają tę uroczą umiejętność. Badania przeprowadzone na trzmielach sugerują, że zapylacze także mogą odczuwać przyjemność z czynności w żaden sposób nie wpływających na ich życie i przetrwanie.

Badacze obserwowali zachowanie 45 trzmieli - starszych i młodszych osobników obydwu płci. Owady zostały wypuszczone na specjalnie zaprojektowany obszar badawczy. W jednej części kompleksu ustawiono coś, co można określić mianem „szwedzkiego stołu” dla zapylaczy. W drugiej – tor przeszkód składający się z niewielkich, drewnianych 18 kuleczek. Trzmiele mogły dostać się do żerowiska dwoma drogami. Albo bezpośrednią, albo poprzez tor przeszkód. Wydawałoby się, że po krótkim rozpoznaniu wybiorą najprostszy sposób dostania się do pokarmu. Jednak ku ogromnemu zaskoczeniu badaczy – wołały tor przeszkód. Jak się okazało, każdy z owadów co najmniej raz spróbował interakcji z kulkami, tocząc

je dookoła. Co prawda, niektóre nie zdecydowały się na ponowną interakcję, ale rekordzista uczynił to aż 117 razy! Młodsze owady bawiły się częściej niż starsze, a samce toczyły je dłużej niż samice. Zdaniem naukowców, zachowanie to sugeruje, że toczenie kulek było postrzegane przez owady jako swoista nagroda.

W kolejnym badaniu kolejne 42 trzmiele otrzymały dostęp do dwóch różnokolorowych komór: jedna zawierała drewniane kulki, a druga była pusta. Owady wykazywały silne preferencje dla koloru komory, w której znajdowała się zabawka i chętnie wlatywały do niej. Nawet po usunięciu kulek.

Jak naukowcy definiują zabawę? W tym eksperymencie preferencja toczenia piłki nie była związana z obszarem, który miał dostęp do żywności. Nie było to również związane z usuwaniem bałaganu. Zachowanie owadów było demonstracją czystej chęci do zabawy. Według badaczy toczenie piłki przez trzmiele spełnia wszystkie pięć kryteriów zabawy: brak natychmiastowej funkcjonalności, dobrowolność udziału, spontaniczność, uzyskanie satysfakcji oraz występowanie tylko w sytuacji braku stresu.

Jest wiele zwierząt, które bawią się tylko dla przyjemności, ale większość przykładów pochodzi od młodych ssaków i ptaków. Znajdujemy coraz więcej dowodów na to, by jak najlepiej chronić owady, które wcale nie są bezmyślnymi, nieczułymi stworzeniami, za jakie się je uważa. Dzięki tym badaniom zaczynamy rozpoznawać elementy bogatego sensorycznie i poznawczo życia prowadzonego przez owady zapylające – podsumowują autorzy.



Południowy wymiar szarości

część piąta — studia w Bułgarii

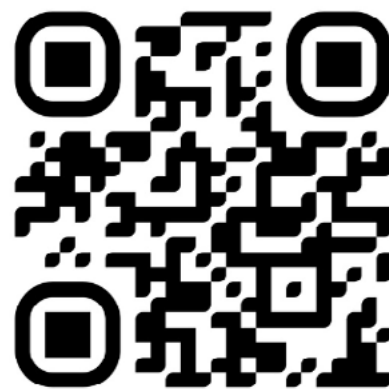
Wiosna odsłoniła przede mną oblicze Bałkanów, którego wcześniej jeszcze nie widziałam. Nawet nieznośnie długa trasa, którą przemierzałam już wielokrotnie między Sofią a Płowdiw, stała się naraz przepiękna. Lasy, przede wszystkim liściaste i wyjątkowo gęste, pokrywają wszystkie wzgórza w zasięgu wzroku. Sunący wolno, nierówno i głośno pociąg przemienia się jakby w małą tratwę, to dryfującą na falach zielonego morza, to zanurzającą się w jego głębinie. Przychodzi mi wtedy na myśl sonet Mickiewicza, Stepy akemańskie: „Wpłynąłem na suchego przestwór oceanu, / Wóz nurza się w zieloność i jak łódka brodzi”. Tak, naprawdę już tęsknię za Polską. Ale jeszcze nie czas wracać, jeszcze nikt nie woła.

Na drzewach w Bułgarii, poza liśćmi i kwiatami, kwitną też białe-czerwone sznureczki, przypominające zwisające kwiaty wierzby (tęskne, płaczliwe skojarzenie). Owe sznurki, splecione w bransoletki i zakończone koralikiem, to tak zwane martenice, które pojawiają się w miastach po 1 marca. Wówczas właśnie obchodzone jest dzień Babci Marzec (z bułgarskiego: Baba Marta), która mieszka w pogodzie, tak jak i w naszym polskim garncu. Tego też dnia, jako symbol pomyślności i nowego początku, Bułgarzy obdarowują swoich bliskich i przyjaciół albo wspomnianymi opaskami na rękę, albo figurkami, również białą i czerwoną. Postaci, które się za nimi kryją, to odpowiednio Pizho (chłopak) i Penda (dziewczyna). Przechadzając się po mieście w marcu, ciężko dostrzec Bułgara, który nie miałby na ręce przynajmniej jednej martenicy. Dostając ją, należy też pomyśleć życzenie i nosić ją aż do momentu, kiedy ujrzy się bociana. Wówczas trzeba pomyśleć jeszcze raz to samo życzenie, a bransoletkę zawiesić

na gałęzi kwitnącego drzewa. Podobno takie życzenia, po odpowiednio odbytym rytuale, zawsze się spełniają. Mam nadzieję się o tym przekonać.

Za każdym razem, kiedy chciałabym napisać coś zgryźliwego o Bułgarach, mój nastrój zostaje oczarowany przez zwykłą, miłą interakcję. Jak już wspominałam wcześniej, jest to naród raczej źle doświadczony, biedny i zdziśiatkowany. Staram się więc być bardziej wyrozumiała, choć niejednokrotnie ciśnienie podnosi mi frustracja. Całkiem możliwe, że moje odczucia i osądy wobec ludzi tutaj były niesprawiedliwe i niesłuszne, gdyż pochodzę z kraju, mimo wszystko, uprzywilejowanego, z perspektywami. Z kraju, w którym bycie aktywnym i pracowitym w większości przypadków naprawdę wiąże się z dobrobytem nieosiągalnym w Bułgarii. Jestem z Polski, która jest ambitna i ja też tymi ambicjami jestem przepełniona. I to również sprawia, że tak ciężko było mi się odnaleźć w tej rzeczywistości, która na żadnej płaszczyźnie takiej ambicji nie przejawia.

Ambicji też ciężko się doszukiwać w tutejszym kształceniu studentów. Zaskoczył mnie znikomy lub często zupełny brak kontroli nad obecnością studentów na zajęciach. Nierzadko zdarzało się, że z całej grupy klinicznej, liczącej kilkanaście osób, na zajęciach pojawiała się sama lub z innymi studentami z programu Erasmus. Z jednej strony zarzuty kieruję tutaj do studentów anglojęzycznych, płacących za odbywanie studiów, z których nic później nie wynoszą z powodu własnej obojętności. Z drugiej strony, nie powinno być na to przyzwolenia ze strony władz uczelni. Samo posiadanie studentów, którzy sówicie płacą za uzyskanie wykształcenia, nie powinno stanowić żadnej



Posłuchaj, jak Zuza
opowiada o Bałkanach





taryfy ulgowej wobec rzeczy tak trywialnej jak obecność na zajęciach. Kolegium dziekańskie, jak widać, nie odczuwa odpowiedzialności za ludzi, którzy nie będą pracować w ich kraju, jednak przyjmując ich na studia powinni być świadomi odpowiedzialności społecznej.

W edukacji medycznej powinno przecież chodzić przede wszystkim o jakość. Mimo że w Poznaniu moi znajomi z programu anglojęzycznego o pewnych rzeczach mi już mówili, to dopiero teraz, doświadczając rzeczywistości studenta międzynarodowego, zrozumiałam, o czym mówili. Inne jest podejście do studenta obcego. Często obarczone dozą nieufności, która jest nie do pokonania.

W gruncie rzeczy jestem wdzięczna za edukację, jaką otrzymałam do tej pory w Polsce. Zarówno w zakresie wiedzy teoretycznej, ale przede wszystkim też praktycznej. Jednak podkreślić muszę to, że bardzo często tej wiedzy nie nabywałam w czasie regular-

nych zajęć. Często jest to zasługa wielu godzin spędzanych w szpitalach dodatkowo. Na praktykach wakacyjnych, na wolontariatach, spotkaniach kół naukowych, akcjach organizacji studenckich, dodatkowych kursach. To wszystko u nas w Polsce prężnie funkcjonuje dzięki niezwykłemu zaangażowaniu studentów i wielu bardzo proedukacyjnie działających lekarzy, nauczycieli akademickich. Zawsze brałam to wszystko jako normę. To normalne, że spotkań kół naukowych jest tyle, że nie wiadomo, do którego dołączyć. Że muszą powstawać listy zapisów do uczestniczenia w dyżurach, a miejsca na nie rozchodzą się momentalnie. Że wielu studentów aktywnie pisze mniejsze lub większe prace naukowe, że wielu z nas choć raz brało udział w konferencji naukowej. Że ustawiają się kolejki chętnych do udzielania wolontariatu w szpitalnych oddziałach ratunkowych. Nasze ambicje spotykają się z otwartymi ramionami lekarzy, szukających dodatkowych rąk do pomocy. Doświadczając systemu organizacji zajęć, w którym są one rozłożone na cały semestr, a nie zgrupowane w blokach, utwierdziłam się w swoim przekonaniu — bloki z zajęć klinicznych nie mają sensu. Odbywanie zajęć przez cały semestr daje czas na rozłożenie materiału. Na sensowne przygotowanie się do każdego według sylabusu. Na utrwalenie wiedzy. Na zobaczenie więcej i dokładniej. Na nawiązanie więzi student-mentor, która jest wartościowa dla obu stron. Usystematyzowaniu wiedzy bardzo pomagają też egzaminy ustne. Uważam, że mają one znacznie większą wartość niż nasze „strzelanki” w CITKu. A co ze studentami tutejszymi, bułgarskimi? W przeciwieństwie do studentów z zagranicy, którzy znaleźli się tutaj, gdyż nie dostali się na studia w swoich krajach, bądź ich na nie nie stać, dla Bułgarów jest to jedna z najlepszych, jeżeli nie najlepsza uczelnia medyczna w kraju. Wolontariat? Raczej nikt tego nie robi. Staż? Bezpłatny, w czasie szóstego roku studiów. Perspektywa dostania się na rezydenturę w dobrym szpitalu? Mniej więcej taka, jak opisywana przeze mnie wcześniej w Serbii, nikła, jeśli nie masz

znajomości.

Gdy atmosfera Bułgarii przytłacza mnie zbyt mocno, wsiałam w bus i jadę do Serbii. Głęboka, dojrzała zieleni końca maja, pokrywająca łagodne stoki wzgórz, łagodzi nerwy i napawa optymizmem. Tym razem zbliżam się do miejscowości Niš, jednego z większych miast Serbii. Z przystanku odbiera mnie mój chłopak ze swoim ojcem i siostrą. Jedziemy do ich rodzinnego domu, położonego niedaleko od granicy z Kosowem. Następnego dnia ich rodzina obchodzi Slawę, święto znane właściwie tylko Serbom. Jest ono dla nich na tyle ważne, że osoba je organizująca ma prawo do wolnego dnia od pracy. Na Slawę zjeżdża się rodzina, przyjeżdżają przyjaciele domu oraz Kumowie. Jest to osoba najbliższa danej rodzinie. Można ją przyrównać do naszych rodziców chrzestnych, jednak wydaje się, że u nas często ich rola jest ograniczona do samego obrzędu chrztu. Kum faktycznie uczestniczy w życiu rodziny.

Dom wypełnia się po brzegi ludźmi, kilogramami mięsa, szopskiej sałaty, kiflic, oparami papierosów i zapachem rakiji. W centralnym miejscu, na ścianie, wisi ikona Świętego Mikołaja. Nad nim, na suficie, widoczne są ciemne smugi popiołu. Rodziny bardziej związane z cerkwią zapraszają na uroczystość również popa. Goszcząca mnie rodzina, ze względu na swój luźniejszy związek z wiarą, odprawia obrządek sama. Tak więc punktem kulminacyjnym Slawy jest ceremonia przypominająca poświęcenie ciała Chrystusa podczas mszy świętej. W pokoju, w specjalnym naczyniu rozpalany jest tamjan. Każdy ręką kieruje opary w swoim kierunku i żegna się. Następnie do pieśczenia wnoszony jest kołacz, specjalny rodzaj chleba zdobionego specjalnie na tę okazję. W środek kołacza wkładana jest zapalona świeca, całość obracana jest przez kuma i rodzinę trzy razy, a następnie świecą trzy razy należy dotknąć sufitu, na którym pozostają wspomniane smoliste ślady. Dalej na kołachu czyniony jest znak krzyża, a ślady

po nim polewane są winem. Kum oraz ojciec rodziny przełamują chleb na pół, całują go i obracają, co również powtarzane jest trzy razy. Chleb przełamany zostaje na ćwiartki. Kielich z winem podawany jest każdemu po kolei, należy się przeżegnać, wziąć łyk wina, złożyć życzenia Srećna Slava. Całość kończy mówienie modlitwy Ojcie Nasz. Całość tej ceremonii, bez obecności popa, zdaje się być obrzędem z pogranicza chrześcijaństwa i pogaństwa. Było to jednak doświadczenie wyjątkowe i niepowtarzalne.

Nadchodzi czerwiec, a wraz z nim egzaminy, czas podsumowań, ostatnich podróży, przemyśleń. Wsiałam w bus do Sofii, zawsze brudniejszy od poprzedniego, którym jechałam. Kolejna pieczęta w paszporcie przybita. Za cztery godziny będę w Płowdiw.

Czy warto było zostać w Bułgarii na tak długo? Czy nie był to stracony rok studiów? Czy udało mi się zobaczyć wszystkie kraje na Bałkanach? O tym jeszcze opowiem, kiedy wrócę.



Granice wolności wyboru

Spór o to, czy ludzki los jest w swojej naturze zdeterminowany, czy też nie, towarzyszy ludzkości przynajmniej od starożytności. Rozwiązania tego dylematu poszukiwano przez wieki, początkowo w religii i filozofii, później również w naukach empirycznych, a dziś szczególnie w obszarze zainteresowań neuro nauk, czy też fizyki kwantowej. Tysiące lat rozwoju cywilizacji doprowadziły nas do punktu, w którym wyścig o pierwszeństwo w wyjaśnianiu świata wygrała empiryczna metodologia opisywania rzeczywistości. Jej pierwsze miejsce jest w pełni uzasadnione niekończącą się listą zasług dla ludzkości, od znaczącego ograniczenia śmiertelności dzięki rozwojowi medycyny, poprzez rozpędzony nowoczesnymi technologiami wzrost gospodarczy, aż po możliwość eksplorowania Układu Słonecznego. Mimo swojej niesamowitej skuteczności w wyjaśnianiu złożoności świata oraz w zbliżaniu nas do platońskiego ideału obiektywnej prawdy, to wspaniałe narzędzie, jakim jest współczesna nauka, wciąż łamie się w zderzeniu z pytaniami fundamentalnymi, które ludzkość zadaje sobie od tysięcy lat.

Początki sporu o zdeterminowanie losów ludzkich sięgają starożytnych cywilizacji, ich religii, kultury i sztuki. W starożytnych mitach czynnikiem deterministycznym zazwyczaj była wola bogów, przeciwstawiana niejednokrotnie podejmowanym samodzielnie decyzjom człowieka. Bogowie mieli wpływać nie tylko na naturę i otoczenie człowieka, ale też nierzadko decydować mogli o niemal każdym aspekcie jego życia wewnętrznego. To zderzenie boskiej omnipotencji z wolną wolą człowieka, w różnej proporcji, charakteryzuje po dziś dzień większość współczesnych systemów teologicznych.

Równolegle filozofowie drogami myślenia indukcyjnego, obserwując rzeczywistość oraz drogą

eksperymentów myślowych starali się wnioskować na temat otaczającego świata, tworząc zarówno deterministyczne, indeterministyczne, jak i pośrednie koncepcje opisujące naturę świata. Na przykład stoicy uznawali Logos jako odgórny porządek świata, któremu należy się podporządkować. Epikurejczycy dopuszczali spontaniczne, nieprzewidywalne ruchy atomów. Arystoteles z kolei łączył w swojej filozofii przyczynowość świata z niezeterminowaną przyszłością.

Wraz z metodą naukową i spopularyzowaniem myślenia dedukcyjnego, opartego o testowanie hipotez, pojawiło się głębsze zrozumienie rzeczywistości, a ludzkość zaczęła odpowiadać na kolejne zadawane przez poprzednie pokolenia pytania. Coraz więcej zdarzeń, pierwotnie przypisywanym siłom wyższym, zaczęto tłumaczyć fizykalnym determinizmem. Apogeum tego sposobu myślenia o rzeczywistości zawiera się w koncepcji Demona Laplace'a. Pierre Simon de Laplace, francuski fizyk, matematyk i filozof stworzył koncepcję abstrakcyjnej istoty, Demona, który znając położenie wszystkich cząstek elementarnych we wszechświecie oraz charakterystykę sił, które na nie oddziałują, byłby w stanie przewidzieć przyszłą trajektorię każdej z tych cząsteczek, a zbierając i przetwarzając odpowiednio wszystkie dane, byłby w stanie przewidzieć przyszłość każdego obiektu we wszechświecie. Sukcesy fizykalnego determinizmu, opartego na empirii, w skutecznym opisywaniu świata sugerowały, że przesuwanie granicy poznania zbliżać nas będzie do coraz głębszego odkrywania deterministycznych fundamentów naszej rzeczywistości. Historia nauki okazała się jednak przewrotna.

Fizycy spoglądając na świat na coraz niższych poziomach jego złożoności dotarli do punktu, w którym te same metody empiryczne, które dotychczas udo-

Ilustracja: Weronika U. Musiał



wadniały deterministyczną naturę fizyki klasycznej, ujawniły indeterministyczną naturę fizyki cząstek elementarnych, którą nazwano fizyką kwantową. Okazało się, że na poziomie cząstek atomowych i subatomowych fizyka wyrwa się intuicyjnemu poznaniu i zrozumieniu. Układ w fizyce kwantowej może znajdować się w superpozycji stanów — gdzieś pomiędzy jednym stanem, a innym stanem (lub większą liczbą stanów). Dokonując pomiaru w układzie możemy określić prawdopodobieństwo, z którym będzie on się znajdował w danym stanie. W czasie wykonywania pomiaru, spośród wielu możliwych scenariuszy realizuje się jeden. Świat kwantów jest zatem probabilistyczny i jest zupełnie odmienny od świata makroskopowego, w którym przyczyna i skutek wydają się być nierozzerwalnie połączone. Z perspektywy współczesnej wiedzy o świecie wydaje się, że nasza rzeczywistość łączy w sobie elementy deterministyczne i indeterministyczne. Gra prawdopodobieństw i statystyka na najbardziej fundamentalnym poziomie rzeczywistości, który udało nam się zbadać, powoduje zmiany w makroskopowym świecie, opisanym przez twarde w swej naturze przewidywalne prawa fizyki klasycznej.

Szczególnie zagadkowym zagadnieniem w kontekście debaty determinizm vs indeterminizm jest istnienie wolnej woli lub jej brak. Neuronaukowy determinizm to przekonanie, że wszystkie przejawy tego co nazywamy wolną wolą da się wyjaśnić neurobiologicznie, a co za tym idzie, wolna wola jest tylko iluzją. Na korzyść tej koncepcji przemawia fakt, że emocje, nawyki, stres, czy funkcjonowanie dopaminergicznego układu nagrody są często kluczowe dla podejmowanych przez nas decyzji. Wiemy również, że genetyczne uwarunkowania mają ogromne znaczenie dla kształtowania się osobowości czy temperamentu, które również w znacznym stopniu torują drogę do konkretnych skłonności i działań. Dodatkowo badania neuroobrazowe wskazują, że wiele naszych decyzji zapada w naszych mózgach jeszcze zanim dotrą do świadomości, a neuroobra-

zowanie pozwala przewidzieć w eksperymentalnych warunkach wybór badanego, jeszcze zanim go świadomie dokona. Alternatywą i zarazem argumentem za indeterministyczną naturą naszych myśli i działań oraz za istnieniem wolnej woli jest koncepcja emergentyzmu, zakładająca, że procesy umysłowe są czymś więcej niż tylko sumą neurobiologicznych części składowych. Procesy emergentne charakteryzują się tym, że po zsumowaniu elementów, które się na nie składają, powstaje jakościowy naddatek, niemożliwy do wyjaśnienia metodami redukcjonistycznymi. Jedną z hipotez zakłada, że mózg w swojej złożoności rządzi się podobnymi prawami jak fizyka cząstek elementarnych, ponieważ tworzy system probabilistyczny interpretujący i integrujący dane z otoczenia. Taka struktura pozwala na powstawanie subiektywnych decyzji, które są niemożliwe do przewidzenia na poziomie interpretacji funkcjonowania sumy pojedynczych neuronów. Przy takim założeniu, wcześniej opisane interpretacje danych neuroobrazowych prognozujące decyzje przed ich podjęciem, byłyby podobne do prognozy pogody, którą można skutecznie modelować, ale nie da się jej w pełni przewidzieć. Wąskim gardłem tej koncepcji jest obecnie tzw. problem przejścia, czyli brak szczegółowej wiedzy dotyczącej tego, w jaki dokładnie sposób zjawiska mentalne miałyby się wyłaniać ze znanych nam zjawisk fizycznych.

Dalszy rozwój nauki może przynieść kolejne przełomy. Historia odkrycia probabilistycznego świata kwantów pokazuje, że to, co już wiemy o świecie, nie daje nam pewności, że to, co odkrywamy w przyszłości, będzie potwierdzać nasze obecne przekonania. Współczesne neuronauki z kolei stawiają pytanie, czy ludzki umysł jest w stanie pojąć swoją własną złożoność. Nie wiemy tego, czy może poznawcze ambicje ludzkości nie wykraczają znacznie poza - nomen omen - zdeterminowane ewolucyjnie możliwości intelektualne naszego gatunku.

Tam, gdzie Korrigany tańczą nocą

Zbliżające się lato sprawia, że coraz częściej zdarza mi się zamknąć oczy i błędzić myślami w stronę Bretanii. Ten region Francji położony na północnym-zachodzie spowija aura tajemniczości celtyckich legend. Idąc wzdłuż wybrzeża, wsłuchując się w wiatr, można usłyszeć szept pradawnych opowieści.

Bretania bez wątpienia jest krainą legend. Choć często celtyckie mity kojarzą się ze światem anglosaskim, to właśnie ona kryje w sobie Brocéliande — las, który według legendy zamieszkiwał sam Merlin. Bretończycy od wieków przekazują sobie historie o Korriگانach, tajemniczych kobiet z Wyspy Sein, a także te bardziej znane — o Merlinie, Królu Arturze i jego rycerzach.

Legends Arturiańskie

Najpopularniejszymi z celtyckich historii są bez wątpienia te, opowiadające o Merlinie i Królu Arturze. To właśnie one zainspirowały powstanie wielu książek, filmów czy gier i fascynowały ludzi na przestrzeni wieków. We wspomnianym lesie Brocéliande, który swoją atmosferą zmusza do kwestionowania, czy aby na pewno nie znaleźliśmy się w świecie króla Artura, skrywa w sobie między innymi grób samego Merlina. Niedaleko znajduje się Fontanna Wieczności — źródło, które może zapewnić nieśmiertelność oraz Ogród Wróżki Viviane.

Breitońskie krasnoludki

Opowieść o breitońskim folklorze nie byłaby pełna bez Korriگانów — kuzynów skrzatów i krasnoludków. Te legendarne istoty zamieszkujące źródła, jaskinie, kurhany oraz dolmeny — megalityczne grobowce, potrafią być zarówno pomocne, jak i złośliwe. Wszystko zależy od ich kapryśnej natury. To im przypisuje się autorstwo tzw. czarcich kół, w których tańczą o zmierzchu. Według przekazów rzucają wyzwania napotkanym śmiertelnikom, szczególnie tym, którzy zakłócili ich rytuały. Tych, którzy uporali się z zadaniem, potrafią sownie wynagrodzić, spełniając ich życzenia, jednak gdy komuś powinie się noga, konsekwencje mogą być poważne. Korrigany szczególnie nie znoszą ludzi, którzy nie szanują przyrody — potrafią wówczas zmylić im drogę lub sprowadzić nieszczęście. Przechadzając się po breitońskich lasach, uważaj, by nie podzielić losu wędrowców, których złośliwe skrzaty zamieniły w kamień.



Miasto Ys

Historia miasta Ys wydaje się być bretońską wersją opowieści o Atlantydzie. Ys, ukryte pod falami zatoki Douarnenez, zbudowane zostało dla Dahut — córki króla Gradlona. Było to najpiękniejsze i najbogatsze miasto regionu, chronione przez wał, zabezpieczający je przed oceanem. Lekkomysłna księżniczka pewnego wieczoru wykradła klucze do bramy śpiącemu ojcu, by wpuścić do środka swojego kochanka. Miasto zostało zalane. Mówi się, że do dziś w pogodny dzień spacerując po plaży, można usłyszeć dochodzące z dna morza bicie dzwonów — to właśnie Ys. A Dahut? Cóż, księżniczka została zamieniona w syrenę. Od tamtego czasu swoim śpiewem wabi bezbronnych marynarzy, by wciągnąć ich w odmęty oceanu.

Wyspa druidek

Na skraju Atlantyku, gdzie wody bywają wyjątkowo wzburzone, leży Wyspa Sein — niewielka, surowa i tajemnicza. Według spisanej w I wieku legendy zamieszkiwało ją 9 kobiet-druidek, które potrafiły panować nad żywiołami, przepowiadać przyszłość, a także uzdrawiać z chorób, które wszystkim wydawały się nieuleczalne. Były uważane za pośredniczki pomiędzy ludźmi a bogami. Nieprzypadkowa jest też liczba kapłanek, 9 w kulturze celtyckiej często kojarzone było z sacrum. To też 3 razy 3 — perfekcja osiągnięta przez druidki na 3 płaszczyznach — fizycznej, duchowej i psychicznej.

Bretania nie zdradza wszystkich swoich sekretów od razu. By ją poznać trzeba pozwolić się jej zgubić. Trzeba zboczyć z najbardziej uczęszczanych szlaków, zanurzyć się w bezdrożach, to właśnie tam,

w cieniu menhirów, usłyszysz śmiech Korriganów, szcęk oręża Rycerzy Okrągłego Stołu i szept Merlina.

Ilustracja: Maja Gołębiowska



Wycieczka #5

Czerwiec... Czerwiec to: truskawki, lody, Warta, gorąc, który każe kupić kolejny wiatrak, koncerty. Dobry czerwiec nie jest zły. Wszyscy kochamy czerwiec. Egzaminy, zaliczenia i tęsknota za tym, jak kiedyś wyglądały wakacje: zero praktyk, zero poprawek (dla większości), wyjazd opłacony przez rodziców... Czerwiec to sesja, gorączkowe szukanie terminów dyżurów i duszne sale seminaryjne. A student? Student w czasie sesji to student z czystym mieszkaniem, upieczonym ciastem i trzecią bezsenłą nocą spędzoną przed laptopem. Być może pora na przerwę? Dzisiejszy spacer będzie dłuuuugi.

Zbiórka dla odmiany nie w centrum, bo startujemy z Wildy. Wysiadając na przystanku HCP, trudno przeoczyć Zakłady Cegielskiego. Na jednym z budynków mural: jakby stara fotografia, tłum ludzi i powiewająca białą-czerwona flaga. Temat dzisiejszego zwiedzania pewnie jest już oczywisty. Poznański Czerwiec — pierwsze w Polsce wystąpienie robotnicze przeciwko komunistycznej władzy. Przed bramą zakładową jest kilka tablic, pięć minut w dół ulicy i znaleźlibyśmy kolejne. Okres powojenny nie był łatwy, odbudowa zniszczonego wojną kraju, okres stalinizmu i represji, braki mieszkaniowe, zaopatrzeniowe... W 1956 roku, sytuacja wciąż była trudna, a jakość życia w Poznaniu stosunkowo niska, brakowało mieszkań, przedszkoli, za podwyższonymi już kilka lat wcześniej normami pracy nie przysły oczekiwane podwyżki płac. Załoga Zakładów Metalowych im. Józefa Stalina (obecne HCP) wielokrotnie wyrażała swój sprzeciw wobec panujących warunków pracy, biorąc udział w milczących protestach, stosując pisma i wnioski do władz, wysyłając delegatów na rozmowy, pojawiały się na-

wet groźby strajku. Wreszcie, w pewien czerwcowy czwartek, mimo syreny zakładowej, robotnicy nie przystąpili do pracy. Krótko po godzinie 6 rano bramy zakładowe otwały się, a tysiące robotników ruszyło w stronę centrum.

Ruszamy i my. Zazwyczaj w naszych wycieczkach poruszamy się od jednego pomnika do drugiego, z miejsca pamięci w kolejne miejsce pamięci. Co jednak jeśli miejscem pamięci jest cała ulica? 28 czerwca 1956, to właśnie wtedy wydarzyła się większość zdarzeń, które będziemy przywoływać. Ulica, którą się poruszamy, otrzymała swoją nazwę w 1981 roku, a cała historia otoczona była sporym skandalem. Początkowo sprzeciw wobec zmiany nazwy jednej z głównych ulic Wildy był niemały, ale wreszcie, w czerwcu, przegłosowano uchwałę, która na stałe wpisała czerwcowe wydarzenia w życie mieszkańców i przejezdnych.

Przecinamy ulicę Hetmańską, przecinamy Fabryczną i kierujemy się w stronę ZNTK.

Zakłady Naprawcze Taboru Kolejowego zamknięte są już od dobrych paru lat, ale przed starym budynkiem, pośród rdzewiejących barier i graffiti, wciąż stoi pomnik-tablica. Cierpieli za słowa: Godności i Chleba. Robotnicy skarżyli się na warunki pracy nie tylko w HCP. W strajkach 28 czerwca wzięły udział w zasadzie wszystkie większe zakłady w Poznaniu. Udział nie został lekko potraktowany przez władze. Członków protestów, w późniejszych miesiącach i latach spotkały liczne represje: aresztowania, przesłuchania, zwolnienia i „wilcze bilety”. Samą pamięć o czerwcowym wydarzeniach próbowano zatrzeć.

Kierujemy się w stronę Starego Miasta i ulicy Solnej, przecinamy ulicę Stanisława Matyi, uznanego za jednego z przywódców Poznańskiego Czerwca, i wreszcie docieramy do aresztu przy ulicy Młyńskiej. Dwa dni przed czerwcowym wystąpieniem delegacja robotnicza z HCP przedstawiała swoje postulaty ministrowi w Warszawie. Mimo że wszyscy członkowie delegacji wrócili bezpiecznie do Poznania, to w trakcie robotniczego przemarszu rozniosła się plotka, jakoby mieli oni być przetrzymywani w poznańskim więzieniu. Więźniowie polityczni nie byli niczym nowym na Młyńskiej. Niewygodne osoby osadzano tutaj od końca XIX wieku, plotka wydawała się być prawdopodobna. Od głównego przemarszu w pewnym momencie oddzieliła się grupa, która postanowiła zdobyć więzienie i uwolnić internowanych. Demonstranci szturmem wdarli się do budynku, z którego uwolniono przeziadających tam więźniów, zdobyto też magazyn broni, a z sąsiedniego budynku sądu i prokuratury wyrzucono akta, które następnie podpalamo.

Cofamy się do Centrum, pod Zamek Cesarski. To tutaj odbyła się główna demonstracja. Do haseł natury ekonomicznej: Chcemy chleba!, Żądamy obniżki cen!, szybko dołączyły hasła religijne, niepodległościowe i antykomunistyczne. Atmosfera coraz bardziej się zagęszczała. Domagano się wolnych wyborów, wiwatowano przedstawicielom opozycji, śpiewano religijne i patriotyczne pieśni. Robotnicy chcieli rozmawiać z premierem. Nawoływania do rozejścia się nie przynosiły efektów. Z budynku partyjnego wyrzucono czerwone sztandary, na Zamku zawieszono białą flagę. Demonstrantami nie byli tylko robotnicy, na placu pod Zamkiem zgromadziło się ok. 100 tysięcy osób: uczniów, studentów, rodowitych mieszkańców Poznania i przyjezdnych, którzy tego dnia postanowili odwiedzić Targi lub wziąć udział w uroczystościach poświęcenia świeżo odbudowanej katedry. Dzisiaj w miejscu czerwcowej demonstracji stoi potężny pomnik dwóch krzyży, upamiętniający również inne wystąpienia robotnicze w PRL-u, a w Zamku znajduje się Muzeum Powstania Poznańskiego — Czerwiec 1956.

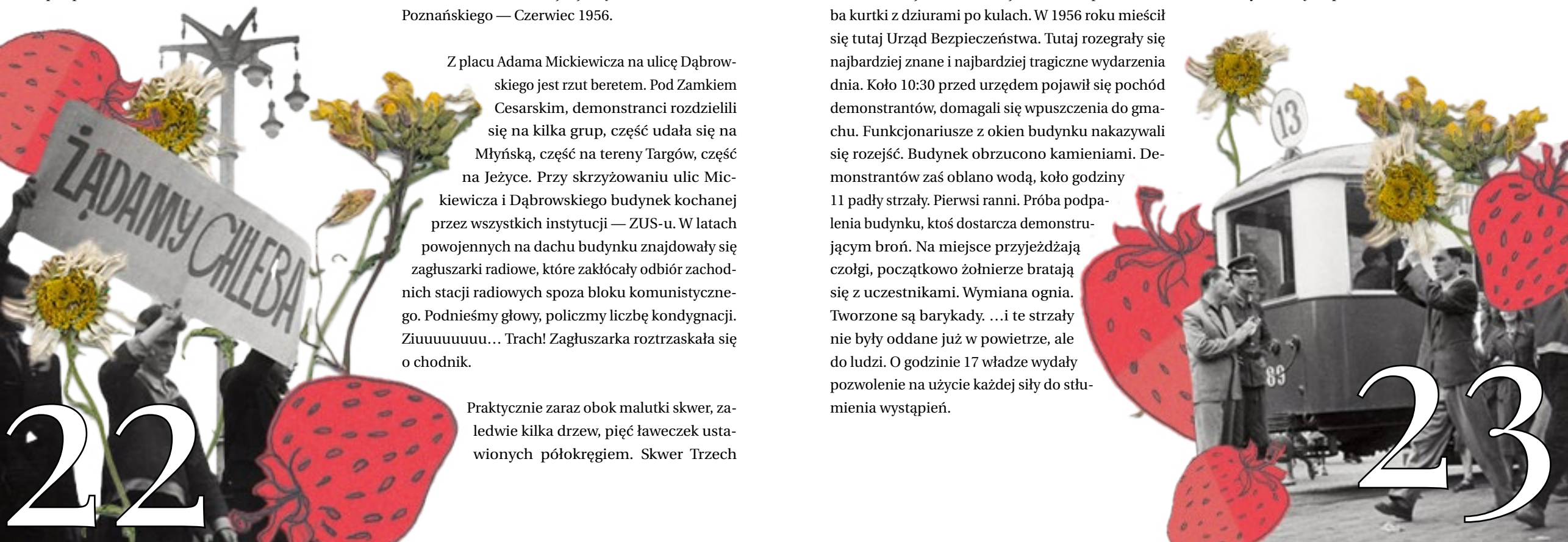
Z placu Adama Mickiewicza na ulicę Dąbrowskiego jest rzut beretem. Pod Zamkiem Cesarskim, demonstranci rozdzielili się na kilka grup, część udała się na Młyńską, część na tereny Targów, część na Jeżyce. Przy skrzyżowaniu ulic Mickiewicza i Dąbrowskiego budynek kochanej przez wszystkich instytucji — ZUS-u. W latach powojennych na dachu budynku znajdowały się zagłuszarki radiowe, które zakłócały odbiór zachodnich stacji radiowych spoza bloku komunistycznego. Podnieśmy głowy, policzmy liczbę kondygnacji. Ziuuuuuuu... Trach! Zagłuszarka roztrzaskała się o chodnik.

Praktycznie zaraz obok małej skwer, za ledwie kilka drzew, pięć ławeczek ustawionych półokręgiem. Skwer Trzech

Tramwajarek. Szukając informacji o Poznańskim Czerwcu, można znaleźć wiele zdjęć wykonanych zarówno przez obserwatorów wydarzeń, osób mieszkających w sąsiedztwie, jak i funkcjonariuszy bezpieki, zbierających ukradkiem materiały dowodowe. Jedno z bardziej ikonicznych zdjęć z tamtego dnia przedstawia trzy kobiety: Stanisławę Sobiańską, Helenę Przybyłek i Marię Kapturek w mundurach MPK, niosących dużą białą-czerwoną flagę na czele pochodu. To ich skwer. Były młode, 18-21 lat, wszystkie odniosły obrażenia bezpośrednio w trakcie wystąpień, jak i późniejszych przesłuchań. Nigdy nie wróciły już do pełnej sprawności. Tutaj kończy się zwykła wycieczka, za rogiem, przylegając bokiem do skweru, znajduje się kolejna instalacja: Pomnik Poległych w Powstaniu Poznańskim. Na sześciu tablicach imiona i nazwiska osób, które zginęły. Pod nazwiskami wiek. Spośród potwierdzonych ofiar co czwarta nie ukończyła 18 lat.

Komenda Wojewódzka Policji, na ścianie płaskorzeźba kurtki z dziurami po kulach. W 1956 roku mieścił się tutaj Urząd Bezpieczeństwa. Tutaj rozegrały się najbardziej znane i najbardziej tragiczne wydarzenia dnia. Koło 10:30 przed urzędem pojawił się pochód demonstrantów, domagali się wpuszczenia do gmachu. Funkcjonariusze z okien budynku nakazywali się rozejść. Budynek obrzucono kamieniami. Demonstrantów zaś oblano wodą, koło godziny 11 padły strzały. Pierwsi ranni. Próba podpalenia budynku, ktoś dostarcza demonstrującym broń. Na miejsce przyjeżdżają czołgi, początkowo żołnierze bratają się z uczestnikami. Wymiana ognia. Tworzone są barykady. ...i te strzały nie były oddane już w powietrze, ale do ludzi. O godzinie 17 władze wydały pozwolenie na użycie każdej siły do stłumienia wystąpień.

Praktycznie zaraz obok Kochanowskiego jest Szpital Miejski im. Raszei, to tutaj karetki przywiozły pierwszych rannych. Na murze szpitala kolejna tablica: symbol pomocy w cierpieniu i świadek śmierci. Ustalenie konkretnej, pełnej listy ofiar Poznańskiego Czerwca jest trudne, niemożliwe. Przeglądając różne źródła, znajdziemy różne informacje. Jak było? 58 czy 71 zabitych? 500 czy 600 rannych? Nigdy się nie dowiemy. Sytuacja była trudna, rannych wielu, postrzały w brzuchy, plecy, głowy. Operacje, które nie mogły czekać na wypełnienie dokumentów. Ranni, dla których nie było miejsc w szpitalu. Aleksandra Kozłowska-Sieja, która pracowała wtedy w jeżyckim szpitalu, wspominała, że transportując rannych, dwukrotnie zmieniała ubrudzony krwią fartuch. Wieczorem po poznańskich szpitalach zaczęły krążyć funkcjonariusze bezpieki. Szukali rannych, wypytywali o nazwiska osób biorących udział w wystąpieniu. Kto był w stanie chodzić o własnych siłach nie pozostawał w szpitalu. Księgi fałszowano, ciężko ranni ukrywali się na porodówce. Ile osób zmarło



we własnym domu? Ile osób w akcie zgonu miało wpisaną inną datę lub przyczynę śmierci? Idąc w górę Poznańskiej, mijamy ulicę Romka Strzałkowskiego. Na jej skrzyżowaniu z Dąbrowskiego, na ścianie kamienicy, jest tabliczka. Chłopiec-bohater, najmłodsza ofiara felrznego czwartku.

Wzdłuż ulicy Dąbrowskiego kierujemy się w stronę Gajowej. Rozstrzelano moje serce w Poznaniu, to fragment wiersza Kazimierza Iłakowiczówny. Poetka przeprowadziła się do Poznania krótko po wojnie i mieszkała tutaj do końca swojego życia. Może 5 minut od UB, na Kochanowskiego, nic dziwnego, że szyby zaczęły dygotać i pękać w czerwcowy czwartek. Za rogiem, przy zamkniętej zajezdni tramwajowej, kolejna tablica.

To koniec naszego spaceru. Czy można by iść dalej? Czy powiedzieć więcej? Oczywiście. Można przeczytać wiele wspomnień, zobaczyć wiele zdjęć, poszukać śladów po strzałach, pójść do Muzeum w Zamku Cesarskim — wolny wstęp we wtorki. Można pójść na Targi, to dzięki nim o robotniczych wystąpieniach dowiedział się świat zza żelaznej kurtyny. Można iść na dworzec, miejscu linczu na oficerze UB. Można czytać o Polskim Październiku, o poznańskich procesach. Jeszcze bardziej zagłębić się w cały konteskt wydarzeń. Można dużo, ale przede wszystkim należy pamiętać.

Po 28 czerwca przez dwa dni Poznań był miastem zamkniętym. Godzina policyjna, łapanki, widoki jak po wojnie. Wieczorem 29 czerwca premier Cyrankiewicz wygłosił przemówienie: *Każdy prowokator czy szaleniec, który odważy się podnieść rękę przeciw władzy ludowej, niech będzie pewien, że mu tę rękę władza odrąbie w interesie klasy robotniczej, (...) w interesie naszej Ojczyzny.* Nie chciałabym kończyć tej wycieczki takim beznadziejnym akcentem, ale trudno inaczej. Trudno pisać o tych wydarzeniach, jakby nie miało to na nas żadnego wpływu. Może to chandra, może przedseesyjny stres... Zakończmy więc może na chwili zadumy, na wspomnieniu zmarłych i małej radości, że wszystkie te płyty i pomniki są.



Ilustracja: Maria Tomaszewska

Między młotem a łóżem przygody inkwizytora Piekary

Ja, Inkwizytor. Miasto Słowa Bożego — Recenzja książki.

Z inkwizycją zazwyczaj kojarzą się dwie sceny. Pierwsza to panowie w czerwieni wyskakujący znienacka w jednym ze skeczów *Latającego Cyrku Monthy Pythona*. Druga nie jest już taka przyjemna, gdyż postać przywiązana do słupa otaczają z każdej strony płomienie. Po lekturze kilku dzieł, w tym najnowszej części przygód Mordimera Madderdina, dochodzę do wniosku, że polscy pisarze stworzyli jeszcze jedną kategorię, czyli ubrani w czerni słudzy Oficjum, lubujący się w łóżkowych igraszkach.

Nowe otwarcie Jacka Piekary

Jacek Piekara jest obecny na rynku od dość dawna, również z cyklem Ja, Inkwizytor, jednak jego najnowsza książka opowiadająca o przygodach Mordimera Madderdina jest swego rodzaju otwarciem nowego rozdziału. Po wielu latach współpracy z Fabryką Słów przeniósł on swoje przyszłe dzieła do wydawnictwa Zysk i S-ka, znanego choćby z innych dzieł fantasy, takich jak *Władca Pierścieni* czy *Pieśń Lodu i Ognia*. *Miasto Słowa Bożego* jest już 18. tytułem należącym do cyklu inkwizytorskiego, jednak stanowi samodzielną powieść, dzięki czemu możemy go przeczytać

niezależnie od pozostałych części lub, jak było to w moim przypadku, właśnie od niego zacząć swoją przygodę z losami słynnego inkwizytora.

Książka została wydana w październiku ubiegłego roku, w dwóch wariantach – twardej i miękkiej oprawie, które zdobi identyczna ilustracja, autorstwa Tobiasza Zyska. Artysta, podobnie jak w przypadku debiutanckich książek Marty Mrozińskiej, stanął na wysokości zadania i dostarczył okładkę, która bezsprzecznie przyciąga wzrok (a w mojej ocenie lepiej pasuje do treści niż te od Fabryki Słów). Wspomniana treść natomiast mieści się na 560 stronach charakterystycznego dla poznańskiego wydawnictwa formatu 140 × 205 mm.

Z wygodnego łóżka prosto do kotła z wrzącą trucizną

Mimo że pierwszy akapit wydaje się przenosić nas do najważniejszego momentu historii uniwersum, bardzo szybko zostajemy wyprowadzeni z błędu. Okazuje się bowiem, że jest to złudzenie głównego bohatera na podstawie zauważonego obrazu. Nie jest to jedyna niedogodność, z którą się spotyka, gdyż przez zmieszanie różnych trunków podczas popijawy, nie do końca pamięta, co i z kim wyprawiał w łóżku przez kilka ostatnich dni i nocy. Akcja jednak po kilkudziesięciu stronach wychodzi z pieleszy, by



Ilustracja: Maja Gołębiowska

dość żwawo ruszyć w daleką podróż.

Mordimer bowiem na prośbę przyjaciela wybiera się na tajną, jakby się zdawało, misję do odległej Italii, by zwieńczyć negocjacje wielkich rodów, mające na celu przekazanie relikwii. Jest nią ryzsztunek świętego Alodiusza, który skrywa w sobie wiele tajemnic. Sprawa komplikuje się jednak jeszcze przed przybyciem inkwizytora na miejsce, który nie może nikomu ufać, więc zdaje się na własną ocenę sytuacji. Nie przeszkadza mu to jednak w częstych powrotach do łóżkowych figli z pewną młodą niewiastą.

Kodeks prawie wiedźmiński

Nie miałem wcześniej przyjemności spotkać się Madderinem, jednak z ponad 500 stron, które miałem okazję przeczytać, wyłania się dość intrygująca postać. Mordimer z założenia jest pokornym Sługą Bożym i jednym z członków Świętego Oficjum. Dzięki swojemu wachlarzowi umiejętności walczy ze wszelkimi objawami zła, które pojawiają się w Europie, jednak od pewnego czasu błąka się po świecie bez bliżej określonego celu. Dzięki temu może choćby brać udział w popijawach i przez kilka dni nie wychodzić z łóżka. Muszę jednak przyznać, że od pewnego momentu powtarzające się sceny łóżkowe lub podtekst erotyczny w dialogach zaczął mnie męczyć, gdyż, szczerze mówiąc, nie były one zbyt wysokich lotów.

Co ciekawe, tytułowy inkwizytor mimo wszystko jest dość skromną postacią, czemu daje wyraz, kilkakrotnie wspominając, że jego zdolności i pozycja w hierarchii błędą w zestawieniu z innymi osobistościami, które przyszło mu spotkać. Podczas swoich działań kieruje się inkwizytorskim kodeksem, który pozwala na wiele czynów, jeśli przedstawiciel Oficjum da radę uzasadnić je ważnym celem w walce ze złem. Stąd jednak już bardzo krótka droga do nadużyć, których nie da się cofnąć. Muszę przyznać, że to właśnie sposób, w jaki Piekara kreuje moralnie szarego bohatera, przeczącego stereotypowemu obrazowi inkwizytora jako męża idei, jest moim ulubionym aspektem tej książki.

Nie takie ciemne wieki

Gdy odejmiemy od obrazu wykreowanego uniwersum sferę magii i demonów, otrzymamy coś łudząco podobnego do Europy z późnego średniowiecza. Dokładne opisy murów miasta, czy położenia kluczowego dla fabuły klasztoru pomagają w wykreowaniu ich obrazu w swoim umyśle. Jeszcze ciekawiej robi się, gdy Mordimer zagląda do nie-świata, który pozwala zobaczyć magiczną aurę ludzi czy przedmiotów. Wszystko to okraszone jest oczywiście sporą szczyptą nawiązań do innych dzieł kultury, historii naszego świata, polityki czy po prostu mrugnięcie okiem do czytelnika. Idealnym tego przykładem są na przykład rozważania bohatera na temat szafy z lodem, którą kiedyś wszyscy ludzie będą mieli w domu.

Lektura całkiem przyjemna, lecz mam mieszane odczucia

Bardzo ochoczo skorzystałem z możliwości rozszerzenia swoich czytelniczych horyzontów o twórczość pisarza, którego w ostatnich latach polecało mi wiele osób. Co prawda przyjemnie czytało mi się *Miasto Słowa Bożego*, a strony przelatwały znacznie szybciej niż w przypadku innych tytułów, trudno mi jednak stwierdzić, czy oprócz wspomnianej wcześniej kreacji głównego bohatera, znalazłbym kolejny równie ważny argument, zachęcający mnie do sięgnięcia po resztę odsłon cyklu inkwizytorskiego. Nie wykluczam jednak, że zrobię to dopiero gdy będę potrzebował odpoczynku od typowego fantasy, w którym obracam się od kilku lat.

ZALETY:

- + skonfliktowany moralnie główny bohater,
- + samodzielna powieść w uniwersum pozwala na bezbolesny początek przygody,
- + intrygujący świat oparty na historycznej Europie.

WADY:

- niekoniecznie wybitne sceny intymne,
- czasem nadmierne odnoszenie się do współczesnej polityki.

Kryzys liberalizmu i Rafał Trzaskowski

Liberalizm jawił się niegdyś jako ideologia wywrotowa. W dobie absolutyzmu projekt pokroju konstytucji Stanów Zjednoczonych istotnie był radykalny. Podobnie radykalnie brzmiały założenia Roosveltońskiego *New Dealu* czy Wielkiego Społeczeństwa Johnsona. Współcześnie jednak, wraz z triumfem demokracji liberalnych jako uniwersalnego wzorca, w rozwiniętych społeczeństwach przemysłowych liberalizm stanowi bolesną manifestację pozbawionego jakiegokolwiek wizji statusu quo. Stąd wynika to charakterystyczne dla liberałów przywiązanie do symboli i żenujące w swej teatralności próby ich obrony. The Washington Post ze swoim sloga-

nem: *Demokracja umiera w ciemności*. Szymon Hołownia płaczący przed kamerą nad konstytucją.

W epoce metamodernizmu nie istnieje już fundament dla umowy społecznej, a bez niej symbole tracą swą magiczną moc manifestowania władzy. Unia Europejska stanowi wymagowaną wspólnotę, tudzież *eurokolchoz*, a jej flaga — *szmatę*. Wyroki federalnych sędziów można ignorować. Zamaskowani agenci ICE wrzucają do nieoznakowanych furgonetek byłych studentów. Posiadacz karty stałego pobytu, Mahmoud Khalil, jest bezprawnie przetrzymywany pod wyssanymi z palca zarzutami *wspierania terroryzmu*.

Akceleracja metabolizmu informacyjnego skutkuje zawężeniem percepcji czasu i przestrzeni. Granice przesuwają się coraz dalej. Fakty stają się coraz bardziej subiektywne, pojęcie rzeczywistości zaciera

się we wszechobecnej kakofonii. Media społecznościowe żerują na skrajnych emocjach. Ale podobnie rzecz ma się z wymierającym dziennikarstwem. Tylko chwytliwe nagłówki są w stanie choć na chwilę zebrać uwagę czytelników.

Prawdziwym przeciwnikiem są media. I najlepszym sposobem na uporanie się z nimi, jest zalenie wszystkiego głównem — tłumaczył w 2018 roku Steve Bannon, były redaktor naczelny serwisu Breitbart i architekt pierwszego zwycięstwa Trumpa. *Pamiętaj-*



Ilustracja: Weronika U. Musiał

cie, że ten populistyczny zryw i Donald Trump — to fragment jego wystąpienia na Oxfordzie — nie są powodem, a objawem. Objawem czego? Kryzysu liberalnych instytucji. Sam Bannon wspomina tu o 2008 roku, wykupieniu długów banków i przetruceniu odpowiedzialności za kryzys na obywateli.

Awatarem społecznego gniewu wobec elit staje się przedstawiciel elity. Trumpizm to nic innego jak bunt wobec systemu w obrębie systemu. Za namiastkę fundamentalnej zmiany uchodzi zawrodożenie tzw. demokratycznej części oligarchów nad dewastacją symboli ich władzy. Wszystko to rozgrywa się w iście filmowej otoczce, która z biegiem lat staje się coraz bardziej karykaturalna. W całym dramacie ataku na Kapitol nie sposób nie zauważyć całej warstwy ironii i komizmu. Insurekcjoniści częstujący się wykradzionym z szafek winem, kuriozalne przebrania wyznawców QAnona, defekacja na biurku Nancy Pelosi. W jakimś sensie stanowi to idealną reprezentację współczesności.

Fantazja dokonania rewolucji przez samo zdezastowanie symbolu jest bardzo filmowa. Podobnie jak walka z antenami 5G, szczepionkami, lobby LGBT, feministkami czy Georgem Sorrosem. Gdy liberałowie jako receptę na egzystencjalną pustkę oferują hedonizm, prawicowy populizm kreuje angażujące narracje. W epoce pozornego indywidualizmu i skomercjalizowanej eschatologii, postawienie się w roli głównego bohatera Campbellowskiego monomitu jest niesamowicie atrakcyjne.

Specyfiką pisanego tekstów do gazety studenckiej jest to, że zawsze są zdezaktualizowane. Niniejszy felieton ukaże się już po wyborach prezydenckich, choć piszę go na początku maja. Na ten moment wszelkie znaki na niebie i ziemi wskazują na zwycięstwo Rafała Trzaskowskiego w drugiej turze. Tego samego Rafała Trzaskowskiego, który pięć lat temu stał się z Andrzejem Dudą i przegrał różnicą niecałych pół miliona głosów.

Był to wówczas wynik imponujący, wzięwszy pod uwagę całą maszynę upartyjnionego państwa skie-



rowaną przeciw kandydatowi Koalicji Obywatelskiej. Trzaskowski przedstawiał się wówczas jako polityk centrolewicowy. W podobnym tonie KO prowadziła potem kampanię w wyborach parlamentarnych, które zakończyły ośmioletnie rządy Prawa i Sprawiedliwości.

W tym roku kampania prowadzona jest inaczej. Na widok rosnącego poparcia dla Konfederacji, sztab Trzaskowskiego postanowił przejąć część narracji prawicowych. I tak, niegdyś progresywny kandydat dziś kreuje się, dość nieudolnie, na wielkiego wojownika z uchodźcami, zwolennika uszczelniania granic, kogucika okrajającego państwowe programy przybyłym do Polski Ukraińcom. Do tego Tusk w tle sufluje pomysły cięcia składek zdrowotnych dla przedsiębiorców, cudownych repolonizacji czy deregulacji, znalazłszy rodzimy odpowiednik Muska w Rafale Brzosce.

Wszystko to jest dość żenujące. Pomijam to jak fatalne wrażenie na wyborcach robi taka metamorfoza. Przede wszystkim jednak legitymizowanie skrajnie prawicowej narracji tylko przyspiesza erozję demokracji, a wraz z pogłębianiem się kryzysu w siłę rosną ugrupowania faszystowskie. I miło by było, gdyby w przyszłości Koalicja Obywatelska miała to na uwadze.

Cykl Artefakty: Tove Jansson

WERONIKA U. MUSIAŁ

Buki bało się wielu z nas. Mroczna postać o wylupiastych oczach i gigantycznym nosie pojawiała się na ekranie znikąd, żeby za moment zniknąć bez żadnej wyraźnej przyczyny. Zwykle stała nieruchomo, niczym zakłeta wlepiła wzrok w przerażonych mieszkańców Doliny Muminków, którzy wspólnie usiłowali ją przegonić. Jej obecność w uniwersum stanowi pewnego rodzaju zagadkę. Czy jej życie na uboczu wynikało ze świadomej niechęci do innych, czy może za jej postępowaniem stała głęboka samotność i nieustanne poszukiwanie ciepła i spokoju? Widzenie Buki dziecięcymi oczami najpewniej wystawia jej laurkę groźnej, jednak po latach może ona budzić w nas współczucie. Za kreacją znanych na całym świecie Muminków stoi Tove Jansson, najczęściej kojarzona z rolą autorki literatury dla najmłodszych. Mało kto jednak wie, że była wziętą ilustratorką, tworzącą oprawę graficzną zarówno do wielu fińskich wydań różnych powieści fantasty, jak i politycznych magazynów satyrycznych. W bibliotece, poza książkami dla dzieci, odnajdziemy przy jej nazwisku również opowiadania oraz powieści czule traktujące o starości. Historia życia i twórczości Jansson przywodzi na myśl memiczną postać „syna koleżanki twojej mamy”, który na każdym kroku odznacza się wyjątkowością przejawianą od najmłodszych lat. To również historia kobiety-artystki, której rozkwit kariery przypadł na mroczne dla Europy czasy.

Tove Jansson przychodzi na świat 9 sierpnia 1914 roku w Helsinkach. Jej rodzice, którzy niedługo wcześniej zapoznali się w jednej z paryskich uczelni o profilu artystycznym, wywodzili się z fińskiej mniejszości, porozumiewającej się na co dzień w języku szwedzkim. Tata, Viktor Jansson, pieściotłiwie nazywany przez rodzinę i przyjaciół Faffanem, był rzeźbiarzem, co w tamtych czasach uchodziło za kulturę na wyższym poziomie, która, pomimo uznania, nie przynosiła zadowalających efektów finansowych. Wynikało to z faktu, że pewne formy sztuki nie są zbyt powszechne, a funkcjonują bardziej w skomplikowanym środowisku wystawienniczym czy kolekcjonerskim. Ojciec Tove łapał się różnych grantów, stypendiów czy konkursów celem dołożenia cegiełki do domowego budżetu. W ten sposób zapewnienie stabilności finansowej w domu rodziny Janssonów spadło na matkę, Signe Hammarsten-Jansson, zajmującą się tworzeniem grafik i ilustracji.

Sztuka użytkowa, taka jak plakaty czy etykiety, w środowisku artystycznym uchodziła za gorszą klasę, jednak przynosiła realny przychód. Dzieciństwo Tove i jej dwóch młodszych braci, Larsa i Pera Olova, upłynęło w inspirującym otoczeniu, wśród ciasnych pracowni, w których akurat pracowali rodzice. Po latach, w jednym z wywiadów, kobieta z rozbawieniem wspomina o jednej z nich, która była na tyle mikroskopijna, że nie było tam przestrzeni nawet na wstawienie dziecięcego łóżeczka. W wyniku tego mała Tove do spania zaadaptowała jedną z szuflad należących do solidnego drewnianego barku. Nie zważając na nieatrakcyjne warunki mieszkaniowe, zafascynowanemu rodzeństwu udzielała się artystyczna atmosfera, która na dobre ukształtowała ich chłonne umysły. W przyszłości bowiem wszyscy związali się zawodowo ze sztuką, jeden z braci stanął za obiektywem aparatu, drugi zaś tworzył komiksy oraz na późniejszym etapie kariery — animacje. Ważnym

elementem w domu było opowiadanie historii, najczęściej tych z dreszczykiem. Ewidentnie wpłynęło to kształt Muminków, które na samym początku nosiły znamiona historii o trollach i duchach, wywodzących się prosto ze skandynawskiego folkloru. Sama Tove, zachwycona postacią ojca, pierwotnie marzyła o karierze rzeźbiarki. Plany szybko uległy zmianie, ponieważ ze względu na kłopoty finansowe rodzina nie mogła pozwolić sobie na dodatkowe zajęcia czy nowe materiały plastyczne. Dziewczynka nie pozostawiała jednak bierna i zerkając przez ramię zapracowanej mamy, podpatrywała tajniki tworzenia rysunków. Do dziś zachował się jeden z dziecięcych rysunków Tove, przedstawiający biblijnych bohaterów, Adama i Ewę, którzy w otoczeniu zwierząt pozuja nieopodal legendarnego drzewa. Powstanie szkicu datuje się na rok 1919, co oznacza, że autorka była zaledwie pięcioletką. Tworząc ilustracje w ilościach hurtowych, siedmioletnia Jansson wpadła na pomysł założenia własnego „wydawnictwa”, którego publikacje były po prostu sklejką różnych rysunków w jakiś sposób ze sobą spiętych. Młodziutka Jansson podobno w trakcie szkolnych przerw sprzedawała autorskie egzemplarze. Kilka lat później, już jako czternastolatka, ze względu na nadmiar zleceń graficznych dla Signe dziewczyna podejmuje się pierwszej pracy, znacząco odciążając swoją matkę.

Po ukończeniu szkoły średniej Tove podejmuje studia, które mają przygotować ją do zawodu nauczycielki rysunku. Nie była to jej wymarzona praca, jednak w zamyśle rodziców gwarantowała dziewczynie zatrudnienie i regularny dochód. Najpierw trzy lata spędza w Sztokholmie, później kolejne trzy w rodzinnych Helsinkach. Droga akademicka nie należała do łatwych, bowiem cały czas torowana była przez jej rodziców, szczególnie ojca, który decydował nawet o wyborze nauczyciela dla córki. Z jednym z nich, dużo starszym, młoda kobieta wdaje się w romans, który wywołuje skandal obyczajowy w rodzinie i staje się zarzewiem konfliktu na linii Tove-Viktor-Signe. W międzyczasie,

w roku 1933, wydaje swoją pierwszą ilustrowaną książeczkę dla dzieci o tytule *Sara och Pelle och nekens bläckfiskar*. Opowiada ona o rodzeństwie, Sarze i Pelle, którzy przypadkowo trafiają do podwodnej krainy rządzonej przez ośmiornice. Jak wielu dwudziestowiecznych pisarzy publikuje nie pod swoim prawdziwym imieniem i nazwiskiem, a zmyślnym pseudonimem Vera Haij. Tuż przed wybuchem II wojny światowej, w 1938, Jansson osiedla się w Paryżu, centrum europejskiej bohemy. Pobyt na akademii staje się symboliczny, ze względu na fakt, że właśnie tam poznali się jej rodzice. Francuska stolica zmienia Tove zarówno jako kobietę, która w końcu dorasta do krytyki władzy rodzicielskiej, jak i jako malarkę, skupiającą się na tworzeniu autoportretów, które w sztuce tworzonej przez kobiety przeszły interesującą drogę. Do około połowy dziewiętnastego wieku portrety, na których gościły kobiety, charakteryzowały się pewnym określonym schematem. Przedstawiały z reguły nagie postacie mitologiczne lub bóstwa, unikając ukazywania cielesności zwyczajnych kobiet. Ich twarze nie były zwrócone na wprost, wzrok uciekał gdzieś na bok, stawiając podziwianego płótno w roli niezauważonego obserwatora. Skandal na Salonie Paryskim wywołał Édouard Manet, prezentując obraz *Olimpia* w 1863 roku, wyznaczając tym samym nowy trend. Tove Jansson na przestrzeni całego życia stworzyła wiele autoportretów, zarówno w formie rysunkowej, jak i malarskiej. Artyści, niezależnie od techniki, jaką się posługują, kojarzą się zwykle z ekscentrycznymi postaciami, którym na usta ciśnie się słowo „wena”. Od jej przyplitwu zależne jest napisanie wiersza, uformowanie rzeźby czy skrupulatne dopracowanie kolażu albo obrazu. Jansson swoją artystyczną działalność określała mianem „klecenia”, które umożliwiało jej tworzyć prace, z których była niezwykle dumna, jak i te które od początku przeznaczone były na sprzedaż i nie miały dla niej większej wartości artystycznej. Były to teksty oraz obrazy stworzone w okresie wojny, kiedy Tove nie potrafiła w pełni zaangażować się w sztukę,



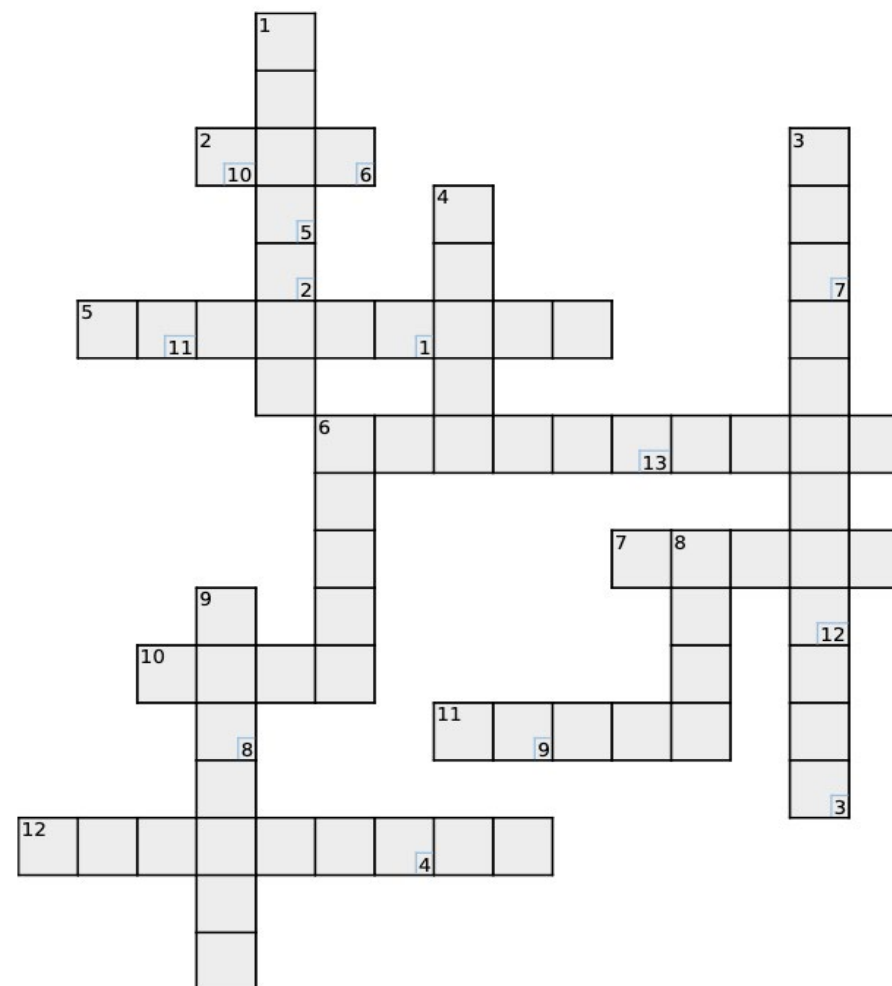
Ilustracja: Julia Musiał

w momencie, gdy w Europie masowo giną ludzie. Wtedy już od kilku lat pracuje w fińskim magazynie Garm, dla którego projektuje okładki oraz satyryczne ilustracje, kwitujące aktualną sytuację polityczną. Do najpopularniejszych należy Adolf Hitler przedstawiony jako rozwrzeszczane dziecko, chcące zjeść tort złożony z całej kuli ziemskiej. Na okładkach pojawiały się tonące w morzu nazistowskie symbole, żołnierze rabujący wszystko, co tylko znajdzie się w zasięgu ich rąk oraz czołgi zdezastowane po wyczerpującej bitwie. Prace należały do niezwykle odważnych, szczególnie uświadamiając sobie fakt, że niewielu ludzi chciało w owym czasie w Skandynawii obnosić się ze swoim zdaniem. Często obrazy oraz rysunki autorstwa Jansson nie były sygnowane zwyczajnym podpisem, a stempelkiem niewielkiej postaci, czegoś na kształt trolla. W tym miejscu pojawiają się Niuchacze, pierwowzór legendarnych Muminków.

Pierwsze gryzmoły przedstawiające Niuchaczy gościły na marginesach uczelnianych notatników Jansson, tuż obok karykatur profesorów i innych studentów. Źródło inspiracji do zaprojektowania całego uniwersum stanowiła również historyjka zmyślona przez jednego z wujów Tove, kiedy ta była jeszcze dzieckiem. Przestrzegali ją przed szperaniem w spiżarni, gdzie miały pomieszkiwać trolle przepędzające ludzi podjadających w nocy. Zauważając łakomczucha, miały one wychodzić ze swoich nor i pocierać noskami o jego nogi, aż temu robi się bardzo zimno. Pierwsza książka osadzona w popularnej bajkowej krainie została opublikowana w roku 1945 pod nazwą *Małe Trolle i wielka powódź*. Nie okazuje się ona bestsellerem, ponieważ zostaje przyćmiona przez słynną *Pippi Pończoszkę*, napisaną przez inną uznaną skandynawską pisarkę, Astrid Lindgren. Zaledwie rok później na rynku wydawniczym pojawia się pozycja *Kometa nad Doliną Muminków*. W wielu interpretacjach pojawia się idea jakoby tytułowa kometa miała być alegorią do broni jądrowej, która była wówczas wziętym tematem, po tym jak rok wcześniej na Japonię spadły bomby. To właśnie ta część wraz

z W Dolinie Muminków z roku 1948 przyniosła Tove Jansson większą rozpoznawalność na rynku książki. Warto wspomnieć, że w świecie artystycznym kobieta funkcjonuje już wtedy jako uznana malarka, mająca na koncie około 80 sprzedanych obrazów i kilka dużych wystaw. W późniejszych latach, tworząc kolejne odsłony muminkowych przygód, ugruntowała swoją pozycję jako pisarki poza Skandynawią. Serię kończy dziewiąty tom o tytule *Dolina Muminków* w listopadzie wydany w 1970 roku. Odniesienie gigantycznego sukcesu jako autorka Muminków okazało się być dla kobiety znacząco przytłaczające, ponieważ została jej nadana etykieta autorki książek dla dzieci, z którą trudno się rozstać. Przez skrupulatność Tove oraz jej pasję do detali autorka całe dnie spędzała nad poprawianiem rycin, przez co nie znajdowała czasu na inne aktywności, w tym ukochane malarstwo.

Jansson w swojej twórczości przywiązywała dużą wagę do relacji międzyludzkich. Zdaniem krytyków poszczególne postacie zamieszkujące Dolinę Muminków stanowią odwzorowanie przyjaciół i członków rodziny pisarki, a Mała Mi ma być bohaterką inspirowaną samą Tove. Po publikacji ostatniej książki z popularnej serii, Finka postanowiła poświęcić się pisaniu powieści przeznaczonych dla starszych czytelników. Do tych najchętniej wydawanych należy *Słoneczne Miasto*, *Córka rzeźbiarza* oraz *Wiadomość*. Częstym motywem występującym w owych historiach jest starość widziana z różnych perspektyw. W jednej z nich widzimy miasto zdominowane przez emerytów, natomiast w innej fabułę stanowi relacja babci i wnuczki, które wspólnie spędzają lato na prowincji. Tove Jansson odeszła 27 czerwca 2001 roku w Helsinkach, w wieku 86 lat. Kobieta, tworząc niezwykle bogaty dorobek artystyczny, do dziś pozostaje jedną z najchętniej tłumaczonych fińskich pisarek. Jej wpływ na kulturę popularną pozostaje trudny do przecenienia.



POZIOMO

2. Rodzaj podatku
5. Przywiązanie do czegoś
6. Park chroniący rzekę Drawę i jeziora pomorskie
7. Kompan Shreka
10. Ptak nadmorski
11. Achillesa
12. Prenumerata, subskrypcja, karnet

PIONOWO

3. Pomieszczenie lub budynek, w którym wykonuje się sekcje zwłok
4. Bielica lub mada
6. Od roweru
8. Kojarzy się z mądrością
9. Stosuje się dożylnie w groźnych stanach niedociśnienia w celu przywrócenia prawidłowego ciśnienia krwi

NAGRODA:

Zaproszenie na spektakl w Teatrze Wielkim w Poznaniu. Sponsorem nagrody jest Teatr Wielki w Poznaniu.

Prawidłowe rozwiązanie – zdjęcie, podpisane imieniem i nazwiskiem, przesyłające na adres jolka@pulsum.pl do 31.07.2025 wraz z dopiskiem „Krzyżówka”.

Ze wszystkich nadesłanych zgłoszeń wylosujemy zwycięzcę, który otrzyma nagrodę.

SUDOKU

					6			
		1	2				8	
7				4		3		5
9								7
	2							3
		6	1		2	8		
3	9		8					2
		4						6
					7			

		3				6	2	
		4		1			3	
			7		8			
4								1
9					4			8
			2		1			6
	9		5	7				
	6							
						5		

NAGRODA:

Podwójna wejściówka do Poznańskiego Muzeum Pyry

Prawidłowe rozwiązanie – zdjęcie, podpisane imieniem i nazwiskiem, przesyłajcie na adres jolka@pulsum.pl do 31.07.2025 wraz z dopiskiem „Sudoku”.

Ze wszystkich nadesłanych zgłoszeń wylosujemy zwycięzcę, który otrzyma nagrodę.

7					4	5		
	6	2						1
					7			8
	1							6
							8	
8			1	7		9		5
	8							
					3			
9				6	2	7	3	

	2	4	7					
		6			9		2	
		5		2				
		9		7	4	5		
8	7			5			1	
					5	4		
		7		1		3	5	
	5			8		1		9

SUCHARY

Stomatolog do pacjenta:

- Teraz coś, co może zboleć...
- OK, jestem gotowy...
- Od roku spotykam się z pana żoną.

Co mówi Batman, kiedy chce, żeby Robin wsiadł do Batmobilu?

- Wsiadaj

Zięć po wizycie teściowej u lekarza pyta:

- Panie doktorze, czy jest jakaś nadzieja?
- Niestety, to tylko zapalenie ucha.

Lekcja religii. Katechetka do dzieci:

- Co robimy, kiedy jest post?
- Komentujemy i dajemy lajka!

Co się stanie jeśli odpadną ci ręce?

Nie będziesz mógł ich podnieść...

Jasiu wieczorem biegnie do taty i mówi:

- Tato, tato dom nam się pali!
- Synku uciekaj szybko z domu, tylko cicho, żebyś matki nie obudził.

Mówi tata do Jasia:

- Widzisz Jasiu tutaj kiedyś stała cukiernia. Głaszcz go po głowie.
- Widzisz Jasiu, a tutaj kiedyś stała elektrownia z Czarobyla. Głaszcz go po drugiej głowie.

Facet pyta męża nieżywej:

- Dlaczego pan nie ratował swojej żony jak tonęła?
- A skąd miałem wiedzieć, że się topi wrzeszczała jak zwykle.

- Z jednej strony pić wódkę – fajnie, a z drugiej – niewygodnie.

- Dlaczego?

- Z drugiej strony nie ma przeliku.

Na politechnice, na kierunku budownictwo, odbywa się wykład na temat BHP. Profesor mówi do studentów:

- Wyobraźcie sobie, że jesteście brygadystami na budowie. Na waszych oczach pracownik spada z rusztowania. Jakie są wasze pierwsze działania?

Studenci:

- Trzeba zadzwonić po karetkę!
- Zadzwonić na policję!
- Powiadomić krewnych!

Profesor:

- Źle – trzeba założyć kask i uprząż bezpieczeństwa na zwłoki, inaczej pójdziecie siedzieć.

„Dlaczego T-rex nie klaszcze?

- Bo wyginął

Co robią lekarze w kuchni?

- Leczo...

Co według lekarzy jest przyczyną bólu głowy?

- Niedobór apiryny we krwi.



ZACHODNIE
CENTRUM
EDUKACJI

Uwaga! Trwa rekrutacja na kierunek Technik masażysta

Studiujesz? Zdobądź równolegle dyplom
Technika Masażysty

- ✓ Nauka trwa 2 lata (4 semestry)
- ✓ Kończy się egzaminem i uzyskaniem dyplomu Technika masażysty
- ✓ **Bezpłatna nauka bez wpisowego!**
- ✓ Dla najlepszych absolwentów **dodatkowe certyfikaty** z masażu leczniczego



ZESKANUJ MNIE
i poznaj ofertę

ZAPRASZAMY !

**Zapisz się
do naszej szkoły, zadzwoń lub napisz:**

sekretariat@zce.edu.pl | +48 609 777 657 | www.zce.edu.pl

ul. Św. Michała 43, 61-119 Poznań

/zachodniecentrumedukacji

